

PATYKI, BADKIE A-YLE

URSZULA ZAJĄCZKOWSKA

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Urszula Zajączkowska

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2026

Hanusi

Patykiem narysuję na ziemi jakieś coś. Badylem odgonię naszpikowaną zębami paszczę psa, kijaszkiem pomacham w powietrzu, by posłuchać dowodu na nieprzezroczystość przestrzeni, dla sprawdzenia, czy nadal tam w niej wiszą atomy. A skoro wiszą, to przecież zasyczą, gdy je w powietrzu rozdzielę. Na konarze będę siedzieć godzinami, moszcząc się w dłoniastych jego rozwidleniach jak w gnieździe, na jutro. Pokuśtam się na gałęzi lipy, dobrze wiedząc, że nie zrzuci mnie naprawdę nigdy, bo związana jest włóknami silniejszymi niż ja. I że wszystko to też mi wybaczy, będę pamiętać zawsze.

Patyki, badyle, drągi, pędy, gałązki – długie palce, rusztowania dla liści, kwiatów i owoców, pokryte twardą korą, zasłonięte od świata, eksponują jednak swoje intymne priorytety, obnażając kształtem, ukrytym językiem anatomii całą historię swojego życia, którą można czytać jak powieść o nieprzewidywalnej fabule. W rozdziałach przyrostów drewna albo w geometriach komórek – kapsulek ukrytych w liściu – kryje się zapis o życiu, po ludzku: każde drzewo ma inny charakter, bo przecież każde z nich jest inne. Jedne są zachłanne, więc umrą szybko, a drugie ślimaczyć się będą kilka tysięcy lat, przyrostami cienkimi jak bibułka. Będą żyły na minimum,

na nic, jak w spękaniach suchych Gór Skalistych od wieków stwarzają się sosny ościste, jak szwedzki świerk Old Tjikko związany będzie z antykiem, z Arystotelesem, cienką granicą roku, w którym on się narodził, a drzewo miało już kilka tysięcy lat.

W gałęzi i ułożonych komórkach – literach drewna – zakodowana jest też wybrzmiała pogoda, słońce i wiatry, z wypadkami jak majowe mrozy, i to, czy gleba, w której całe drzewo się zrodziło, była dla drzewa hojna czy raczej jałowa, czy brakowało kiedyś deszczów i w którym roku zdarzyły się tak rzęsiste, że brakowało powietrza na oddech? W ciałach drzew wypalone są też wszystkie ich traumatyczne historie, na przykład gwóźdź, pożar, pocisk z ludzkich wojen, inwazja owadów czy zgryzanie zębami łosia – to też się da w nich odczytać. Kształty konarów opowiedzą o przebiegu wielu lat, chociażby o tym, czy w ich bliskości żyły jakieś inne drzewa oraz kiedy one umarły. Czy czasem któregoś dnia nie ścięto gałęzi wyżej albo niżej nich? A może wichura rozłupała ją zamasyście, otwierając niebywały kawał nieba dla nowych pędów, jeszcze niewyrośniętych, z ukrytych pod korą pąków, które człowiek nazwał śpiącymi? Z której strony zwykle wieje wiatr, mimo że nigdy nie wiadomo, kędy on gna? Wszystko to pisze drzewo jak patyk w powietrzu, jak ja teraz na piachu, bo konar i gałęzie, cała ta gęstwina, to ciągła ich rozmowa ze sobą, przestrzeni i tego ciała rysunki.

W gałęzi jest też wrysowany pewien odwieczny plan, tchnienie życia wykształcone ewolucją, oszlifowane licznymi porażkami, które się przez miliony lat koryguje, dzięki czemu dziś także my – w ułamku sekundy – odchylamy przecież dłoni znad płomienia. Współcześni wokół nas to zatem wybrańcy losu, szczęśliwcy pośród niekończącej się sterty zwłok i ich

chybionych decyzji, więc rosną tu, żyją najlepiej jak w tym momencie można.

W konarze i cienkim patyczku widzę też działania czystej chemii i widzę klarowną fizykę, ich odczytane prawa i poszukiwania odpowiedzi, przekazywane jako dziedzictwo, zdanie nadrzędne szeptane do liścia, do włókna, zdobyte przez śmierć przodków. Tej tajemnicy wciąż nie znam.

Tak jak pewność tego, że istnieje grawitacja. I że w drzewach widać powidoki aktów grawitacji. W nich jest jej rysunek, jak echo. To niewidzialne przyciąganie kuli ziemskiej u roślin dostrzec można już w samym ułożeniu pnia, geometrii żdźbła turzycy i witce wierzby, w nerwacji liścia, w jego kształcie, formach szyszek, strukturze pylników, wszędzie ją widać.

Wydaje mi się też, że to przezroczyste powietrze, które przed miliardami lat było potworem hamującym emigrację roślin z mórz na lądy, dziś jest składnikiem przestrzeni, przez który żadna roślina nie musi już umierać. Bo dostosowała się, by z tym powietrzem i w powietrzu współistnieć. Od samego początku ono jest wokół gałęzi, porusza się, ma zmienne stężenia wilgoci, będzie osuszało liść, więc wywlekało z niego wodę, rankiem moczyło kondensacją, ale i wiatrem biło, tworząc naprężenia, wygięcia i drgania masztu-konaru i całego pnia. Będzie tłukło podmuchami, a drzewo odpowie jękami i szumem na każdy strumień dzikich atomów zaplatający się wokół gałęzi.

I tak rok w rok, patyki, gdy żyją, to rosną, tyją, potem już są jako gałęzie i zaraz konary, wciąż notując w swoich ciałach z niezwykłą pilnością całość tę, która się w nich i dookoła dzieje, zachowują jej opisy na zawsze, dopóki coś ich nie rozłoży, nie spali lub nie rozedrze.

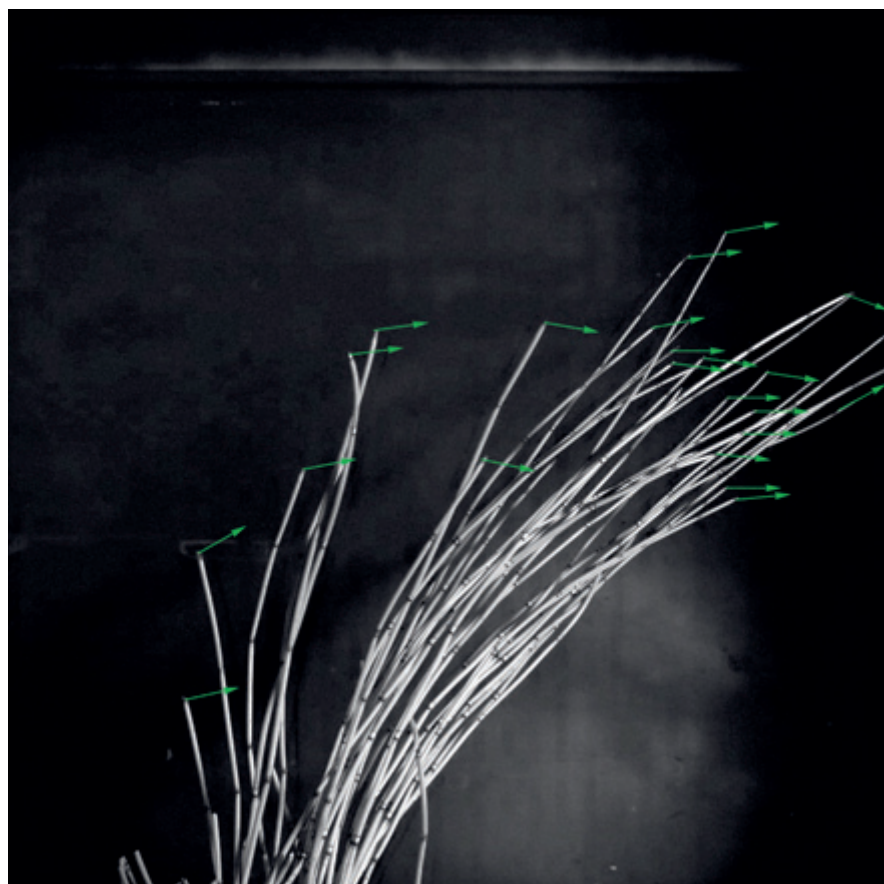
Bo w konarze jest schowany badyl, w badylu jest gałąź, ta sprzed roku, i kijek sprzed kilku lat, a jeszcze głębiej siedzi cicha gałązka. W samym środku zaś jest już zupełnie nieme wspomnienie cienkiej wiosennej witki, zielonego patyczka wielkości zapałki, teraz widać go tylko jako jasny punkt, rdzeń, a przecież kiedyś witał cię migotaniem żółtozielonego liścia. Bo był on w odpowiednim czasie szczęśliwie na drzewie umieszczony, skoro wtedy przeżył, przezimował, odzimał i stał się podstawą, którą oblażyły nowe przyrosty, nowe i nowe kolejne okręgi budującego czasu, jak fale po wrzuconym do wody kamieniu.

Geometria okręgów drewna to coś, co się w patykach dzieje, bo myślę, że można tak mówić – że geometria w roślinach właśnie dzieje się, samostanowi w naturze i tę naturę przez siebie stwarza. Jest na nią odpowiedzią, refleksem oddziaływania, zdradza ją poprzez to, pokazując, czego ona nie znosi, a na co pozwala, jest zatem płataniną gałęzi na murze, nerwacją liści, dorzeczem Amazonki, zmarszczkami na twarzy, spękaniem ziemi, naczyniem serca, żyłkami skrzydeł pasikonika – wszystko jest do siebie podobne, bo wszystko jest zbudowane z jednych molekuł i tkwi w jednej, wspólnej przestrzeni, w której rosną zaby, zimorodki i turzyce.

W czułych pędach, badylach i konarach utrwalona jest więc droga tworzenia całego drzewa, jego wzrostu, jako pieśni wiwatującej życiu, oratorium światła i ziemi, przemian otoczenia i własnego wnętrza. Wszystko to wyryte jest hieroglifami anatomii. Mimo że mogę rozszyfrować z nich tylko pojedyncze słowa, zdania proste z kilkoma tylko przymiotnikami, i tak wiem, że warto to czytać bez ustanku, dokładnie tak samo, jak czytamy zapisy i źródła odkrywane przez archeologów, etnografów, u pisarzy sprzed lat, opisujących

historie człowieka na świecie, jak i sam złożony świat. Urywki słów Safony, księżycowy kamień, szelesty kosmosu, piski fal grawitacji i anatomia roślin – rysunki roślin – języki roślin, niezrozumiałe, wystarczają, by z premedytacją zgubić się w nich, zakopać się w ich zaszumionym i niewyraźnym dowodzie istnienia, zaplątać się tam, zmęczyć i się skończyć, bez poznanej odpowiedzi.

Patyki, badyle, powietrze i jeszcze my.





Popularyzacja wiedzy przyrodniczej bywa dziś rozumiana jako bezimienny dar, najlepiej łatwostrawny i niezobowiązujący. Jakby ta wiedza była u naukowca czymś objawionym, ciepłym światełkiem Ducha Świętego, które po prostu się mu kiedyś zjawiło całkiem bez tyrania, wkuwania, umorusania w szukaniu czegoś, czego jeszcze nie było, czegoś, co jeszcze nie zostało nazwane. Jakby ta wiedza, gdy już z nieba spadła, miała sobie trwać, niczego nie oczekując, poza nadzieją, że ktoś ją sobie weźmie. Bo skoro już jest, ma być rozdawana. Najlepiej w formie darmowych, atrakcyjnych ciekawostek.

Ciekawostka to margines tekstu pełnego liter lub liczb, przerywnik, drobna przynęta wrzucona między dłuższe zdania po to, by nikogo nie znużyć i broń Boże nie dopuścić do wysiłku studiowania, do szukania sensu i znaczenia. Więc czy wiesz, że sekwoja może ważyć tysiąc ton? A czy wiesz, że pewne grzyby przejmują kontrolę nad mózgiem mrówek? A czy wiesz, jak wielki jest wieloryb? Maksima, ekstrema, rekordy, skrajności – byle wycisnąć z czyjejś uwagi choć kilka sekundek. Przyrodnicy stoją tu w osobliwym impasie, bo przecież nawet najprostsze zjawiska wyłaniają się ze zrozumienia szerokiego kontekstu, z zasady niedostępnego dla większości osób. Więc trzeba tłumaczyć od podstaw. I tę wie-

dzę powinno się rozdawać, jakby sama powstała bez autorów, jeszcze bardziej bez autorek. Jakby nie stały za nią laboratoria, lata obserwacji, pomyłki, korekty, ryzyko, znużenie, cierpliwość. Można więc opowiadać o własnych obserwacjach wynikających z wieloletniej pracy, a potem przeczytać własne słowa u kogoś, kto tłumaczy przyrodę dalej, biorąc cudze jak swoje. W naukach przyrodniczych jest to zjawisko notoryczne. Bo przecież to prawda przyrody, a ona jest wszystkich.

Więc jeśli dokonania przyrodników są niczyje, to można ich używać, ile i jak się chce. Narzędzia i metody z obszaru nauki pojawiają się też w sztuce jako oryginalne akcesorium dla działań artystycznych, nierzadko ustawionych tam w błędnym kontekście i rozjeżdżających znaczenia, przy jednoczesnym obarykadowaniu się przed każdą krytyką ze strony źródła. Bo przecież to sztuka, nie nauka. Oczywiście zaczerpnięte metody mają też autorów i autorki, w sztuce nigdy niepodpisanych, czyli po prostu wziętych. Sprawa nie rozbija się rzecz jasna jedynie o problem braku nazwisk. Musimy przyznać, że raczej nikomu nie przychodzi do głowy pytać, skąd wiadomo, że woda ma budowę cząsteczkową; fakt po prostu krąży, a wraz z nim cała fotosynteza i zwyczajnie ptaków czy formowanie chmur, jakby nikt tego nigdy nie odkrył przez kaskadę zdarzeń wynikających z czyjejś decyzji, pracy, zdolności i zasobów, z których czerpał. Tymczasem to wokół humanistyki gromadzą się nazwiska, szkoły, nurty, style myślenia. Humanistyka bowiem pracuje wybitnie słowem, więc pamięta, czyje ono jest. Tyle że przyrodoznawstwo także pracuje słowem – i to słowem precyzyjnym jak żyłetka, wypracowywanym przez pokolenia: każda nazwa gatunku powstaje jako decyzja na jakiejś płaszczyźnie wolnego i całkiem osobistego wyboru. Interpretacje wyników badań mogą

być jednoznaczne, ale często przecież uruchamiają pewien zakres wątpliwości wyrażonych dalszymi pytaniami, nowymi hipotezami. Wszędzie tam jest konkretny człowiek, jego umysł i szkoła, z jakiej wyrósł.

Każda inna praca jest zresztą bardziej lub mniej uznawana z całą oczywistością. Nikt się nie zastanawia, dlaczego dentyści nie plombują zębów za darmo, a prawnicy liczą sobie za każdą konsultację, hydraulik też wystawia rachunek za najdrobniejszą usługę. W tym kontekście zastanawiające jest powszechne przekonanie, że wiedza przyrodnicza w formie popularyzacji powinna funkcjonować w osobnej strefie: ma nie mieć źródła i być objaśnianiem elementarnej wiedzy w najprostszej i najlżejszej postaci. Pamiętam, jak kiedyś zaproszono mnie do pewnej audycji radiowej, w której mowa była o jesiennej przyrodzie. Zaczęłam opowiadać o zjawiskach zmiany koloru światła, o spoczynku przyrody i o totalnej ewakuacji barwników z liści drzew przed ich śmiercią. O tym, co się w tych liściach dzieje po kontakcie z glebą, jakie to misteria i eksplozje, nowego życia początki! Prowadzący chciał tylko odpowiedzi, czy liście grabić czy jednak zostawić. Odpowiedziałam, że to zależy, choć lepiej jednak nie. I mogłam już pójść. To jeden z wielu przykładów na to, że wiedza przyrodnika bywa traktowana użytkowo. Próba podzielenia się pasją jest bezużyteczna.

Nie jest to zresztą zjawisko nowe, ale przyznaję, że dziś, w dobie wszechobecnego dostępu do dobrej wiedzy, jakimś trafem stało się wyjątkowo powszechne i wygodne. Kiedy w 2023 roku wyszedł film o Oppenheimerze, wiele było gadania o jego obrazie, o dramaturgii, o etyce nauki. Film miał swojego bohatera, wyraźnego, z nazwiskiem w tytule. Melba Phillips w nim nie wystąpiła nawet przez sekundę, choć jej

nazwisko nosi ta najważniejsza reakcja jądrowa, którą opisała razem z Oppenheimerem w 1935 roku. Szkoda, że nie zostało to powszechnie zauważone. Ludwik Fleck, mikrobiolog ze Lwowa, opisał ten mechanizm (także w 1935 roku): każdy fakt naukowy powstaje w konkretnej wspólnocie, w laboratorium, w szkole, w tradycji badawczej, która uczy nie tylko metod, ale i tego, na co w ogóle warto patrzeć. Niestety stało się dziś tak, że kiedy ten wymuskany fakt, prawda naukowa, będąca podstawą racjonalnego i głębokiego życia, wychodzi w świat, ta wspólnota zostaje porzucona za progiem. Film *Oppenheimer* pokazuje wyjątkowo silnie to zjawisko, bo wzmocnione ostracyzmem w nauce, którego od wieków doświadczają kobiety.

Maria Sibylla Merian dwieście pięćdziesiąt lat wcześniej zniknęła w sposób jeszcze cichszy. W 1699 roku sprzedała dwieście pięćdziesiąt pięć własnych obrazów, żeby sfinansować wyprawę do Surinamu. (To dopiero pasjonatka chętna do dzielenia się wiedzą!) Z córką przez dwa lata dokumentowała tamtejsze owady i rośliny i robiła to w sposób osobliwy dla tamtej epoki. Merian obserwowała rzecz całościowo, jako proces: owada na roślinie, na której żył, drapieżnika przy ofercie, grudki gleby na pokrywach owadów. Widziała więc przyrodę jako coś, co się dzieje w splątaniu ze światem, niezwykle jak na dzisiejsze spojrzenie, nowocześnie i odkrywczo. Potem, przy klasyfikacji gatunków, pan Linneusz korzystał z jej opisów i ilustracji. Mimo to w latach trzydziestych XIX wieku angielski naturalista Lansdown Guilding opublikował druzgocącą krytykę jej pracy. Nigdy nie był w Surinamie, ale z poziomu swojego przeczucia uznał jej obserwacje za niedbałe, bezwartościowe, takie, które każdy chłopiec entomolog by zauważył. Szczególnie oburzała go ilustracja przedstawiająca ptasznika atakującego kolibra: niemożliwe, napisał. Dziś już wiadomo,



że ptaszniki są w stanie zżreć małego ptaka, a nazwa rodzajowa ptasznika *Avicularia*, od łacińskiego *avicula*, ptaszek, pochodzi właśnie od ilustracji Meriana. A jednak jej prace przez pokolenia klasyfikowano jako estetyczne ilustracje, nie źródło wiedzy i dociekliwości obserwacji. Po prostu przyzwoita sztuka wrażliwej kobiety, którą zechciała się podzielić.

Skoro jednak wiedza przyrodnicza ma autorów, ma znaczenie, ma swój język, dlaczego jej nieznamość nie jest obciachem? Znam to z własnego doświadczenia: można bez skrupowania przyznać, że nie odróżnia się buków od grabów, że nie wiadomo, jak kwitnie lipa, że mechanizm oddychania jest terminem zbyt odległym i technicznym, i nikt nie uniesie brwi. Przyznanie się do nieznamości Prusa albo podstawowych pojęć filozofii wzbudza tymczasem solidne zażenowanie i wydaje się, że wykształcony człowiek, który

nie czytał Faulknera, czuje się w obowiązku nadrobić tę lukę albo przynajmniej przyznaje się do niej ze skrucą. Dlaczego jednak ten sam człowiek, który nie odróżnia jaskółki od jeryka ani wierzy od topoli, zwykle nie odczuwa podobnego zobowiązania?

Skąd ta asymetria? A nuż stąd, że wiedza przyrodnicza weszła w XX wieku w fazę głębokiej specjalizacji i wraz z nią wycofała się z przestrzeni wspólnej, stała się sprawą specjalistów, a specjaliści sami wystarczają sobie za czytelników. Wzmacniał to system edukacji, który biologię, fizykę i chemię przekształcił w zbiór definicji i wzorów do zapamiętania. Można zdać maturę z biologii i nigdy nie zobaczyć związku między tym, czego się uczyło, a tym, co rośnie za oknem; nie wiedzieć, dlaczego liść żółknie jesienią, choć w podręczniku był wzór reakcji rozkładu chlorofilu. Wiedza, która nie schodzi ze szczegółu do widzialnego świata, nie zostaje w człowieku na długo. Rozpada się szybciej, niż została zapamiętana. Za specjalizacją i dydaktyką kryje się jednak coś starszego: dawny podział na kulturę i naturę, który europejska myśl przeprowadzała z różnym natężeniem przez wieki. Kultura jest tym, co człowiek zbudował i co go definiuje przez wywyższenie ponad przyrodę. Naturze przypadła rola tła ważnych wydarzeń, czasem zasobu, czasem zagrożenia, w każdym razie czegoś, co istnieje wokół człowieka, a nie w nim. Znać kulturę znaczy zatem rozpoznawać siebie, jednocześnie pozostając obojętnym wobec natury i nadal uchodzić za człowieka wykształconego. Ten podział dziś powoli kwestionuje ekologia i filozofia przyrody, ale w praktyce codziennego życia trwa i nieźle się trzyma. Z podziałem tym wiązało się jeszcze coś: nauka stopniowo wypracowała własny sposób pisania, kod językowy, w którym autor miał znikać –

zdania pisane bez podmiotu, w stronie biernej, bezosobowo. Wykonano, zebrano, opisano, wyciągnięto wnioski. Fakt ma mówić sam za siebie, jakby spadł z nieba na sterylną stronę raportu. Opowieść o przyrodzie miała się realizować, i nadal się realizuje, przede wszystkim w publikacjach naukowych za tłuste punkty. Nikogo nie obchodzi tłumaczenie tego fundamentom tej wiedzy: wam – podatnikom, obywatelom państwa. Dlaczego sama droga, którą wiedza pokonuje, prawie nigdy nie staje się tematem opowieści? A przecież praca badaczki czy badacza jest głęboko cielesna i osobista: wrażliwość oka, doświadczanie chwili, wślepianie się w mikroskop, stan kręgosłupa po tygodniach w terenie, głowy od setek stron literatury czytanej po to, żeby wiedzieć, gdzie jeszcze można się mylić, precyzja rąk od powtarzanych pomiarów. Wiedza przyrodnicza jest wypracowywana przez umysł i ciało, które się przy tym zużywa, i właśnie dlatego tak łatwo ją traktować jak eter, jak coś, co unosi się ponad ludzkimi głowami bez żadnego punktu zakotwiczenia. Donna Haraway nazwała to boskim trikiem: złudzeniem, że istnieje spojrzenie znikąd, widzące wszystko i oderwane od ciała, które miałyby za nim stać. Takie spojrzenie, pisała Haraway, tylko udaje obiektywność. W istocie jest nieodpowiedzialne, bo nie wiadomo, do kogo się zwrócić, kiedy prawda się sypie. Ciekawostka działa jak boski trik w miniaturze. Tak jak badania nad tak zwaną komunikacją drzew przez grzybnie. Efekt w eterze jest szybki i atrakcyjny. Dziś faktycznie wiemy, że korzenie drzew żyją w sieci z grzybami, że ta sieć przenosi węgiel, wodę i sygnały chemiczne, że las jest organizmem o więcej niż jednym centrum, ale rosną też wątpliwości wobec charytatywnej natury grzybów i miłości międzygatunkowej. Doszły do tego dziesiątki badaczy przez dziesiątki lat, cofając się, zaczynając

od nowa. W obiegu funkcjonuje jednak ciekawostka: drzewa rozmawiają ze sobą.

Ta sama logika rządzi bliską krewną ciekawostki: dziś wysoko cenionym skupieniem skierowanym ku przyrodzie z seansami leśnej uważności, patrzeniem na mech, oddychaniem przy korze, słyszeniem ptaków, muskaniem stóp wilgocią ściółki. Potrzeba takiego kontaktu jest zrozumiała, często niezbędna, zwłaszcza w świecie nadmiaru bodźców i ciągłej obecności mnóstwa treści. Zgrzyta mi jednak, gdy przyroda zostaje opowiedziana przede wszystkim jako źródło nastroju: ma koić i przywracać człowieka „samemu sobie”, ma być niezbędnym elementem psychicznej higieny. Atmosfera kontaktu z przyrodą sypie się, gdy zaczyna się pytać, co właściwie widać i, co gorsze, kto przez lata pracował nad tym, żeby to dało się zobaczyć. Wtedy zamiast wzruszenia pojawia się trud uczenia się czyjejś nazwy, czyjegoś opisu, czyjegoś pomiaru. Nie chodzi mi o bycie omnibusem, a o niezbędne minimum świadomości przyrodniczej. Dziś można wrócić z lasu poruszonym, mieć poczucie pełnego kontaktu ze sobą i z lasem i nic z tego nie rozumieć. Las uspokaja, drzewo cieszy oko, a wiedza o tym drzewie leży poza polem widzenia, jakby nie była częścią tego, co się właśnie przeżywa. Przyroda coraz częściej trafia więc do obiegu jako przestrzeń odpoczynku, terapii, zmysłowego kontaktu. W świecie przebodźcowania nie ma się co dziwić. Dlatego trudniej opowiedzieć żmudne przyswajanie wiedzy, błędzenie, korektę pojęć, wysiłek rozumienia mechanizmu, niż opowiedzieć otwartość i czułość wobec przyrody, a czułość do przyrody wydaje się ideą szlachetną, dobrze brzmiącą, zwykle niewymagającą sprawdzenia. Szkoda więc, że pozostawia człowieka pod drzewem, o którym nic nie wie.